

Jak tu mówić o miłości

● Ich małżeństwo trwało ledwo kilka lat. Ale do dziś **Anna Dymna**, gdy coś robi, zawsze myśli: co by Wiesiu powiedział? I wciąż pracuje na swoje i jego nazwisko

Rozmowa

Maria Mazurek
redakcja@prasa.gda.pl

Dlaczego Pani tyle robi? Fundacja, koncerty, Dolina Słońca, pomagania. Od rana do wieczora.

Dlaczego? Nie umiem się wytłumaczyć. Chyba się nie da. Jak się samemu znacznie pomagać, to wszystko jest jasne. Fakt, że czasem jest ciężko, ale w tym pomaganiu widzę największy sens życia. To mi daje siłę i napęd jak jakaś cała elektrownia atomowa. Gdy ktoś się dzięki tobie uśmiechnie i powie „dziękuję”, to ogarnia człowieka dziwne uczucie, taka lekkość... I myślisz... ależ życie jest piękne! I znów robisz coś, by to poczuć. Tak to się zaczyna. Ja bym bez tego już nie chciała żyć. Budzę się i cieszę, że jest nowy dzień i mam tak wiele do zrobienia. I każdy dzień jest inny i pełen wyzwań: wywiady, spotkania, wyjazdy, nagrania, telefony, pisma, sesja w PWST, egzaminy, spektakle... dlatego czasem jestem tak padnięta. Fundacja uruchomiła kilka cyklicznych wieloletnich projektów. Przy zmianach władz, klimatów, nastrojów, przepisów - często trzeba wszystko od nowa tłumaczyć. Utrzymujemy dwa ośrodki terapeutyczne dla osób niepełnosprawnych intelektualnie. Trzeba walczyć o środki na ich utrzymanie bez względu na wszystko. I nigdy nie mogę powiedzieć: przepraszam, mam dość.

Jak znajduje Pani na to siły?

Myślę, że ratuje mnie to, że przechodzę z przestrzeni w przestrzeń. W fundacji stykam się z prawdziwymi problemami, cierpieniem, nędrą. Założyliśmy ją, by pomagać ludziom niepełnosprawnym intelektualnie, ale dzwonią do nas ludzie po wypadkach,

walczący z ciężkimi chorobami, z porażeniami mózgowymi, uzależnieniami, z problemami psychicznymi. Nie możemy pomóc wszystkim, to oczywiste. Ale wskazujemy im często, gdzie mogą się zwrócić o pomoc.

Prowadzi Pani od lat program w TVP2 „Spotkajmy się”. Rozmawia Pani w nim z ludźmi o niepełnosprawnościach.

Tak. To jest chyba najtrudniejsza rzecz, jaką robię. I pewnie również dlatego tak dużo ludzi ze wszystkimi problemami zgłasza się do mojej fundacji. **Kto znajduje ludzi do programu?** Ja. Jeżdżę po szpitalach, rozmawiam z lekarzami. Niektórzy sami się zgłaszają, niektórych poznaję, gdy sama się rehabilituję w jakimś ośrodku. Czasem przygotowanie do programu trwa wiele dni, jeżdżę do moich potencjalnych rozmówców, rozmawiam z nimi przez telefon. Muszę przecież poznać ich sytuację, zdobyć ich zaufanie i przekonać, że te rozmowy są często pomocą, ratunkiem dla innych. To jest bardzo delikatna, trudna sprawa. Gdy po takich nagraniach wchodzę na scenę, to mogę zapomnieć na chwilę o cierpieniu, chorobach. Teraz dopiero w pełni doceniam, jaki genialny zawód uprawiam. Co prawda jest wyzercupujący i psychicznie, i fizycznie, ale wydaje mi się, że działa na mnie jak najlepszy gabinet psychoterapeutyczny. Mam 64 lata, jestem po wielu wypadkach, operacjach, walczę z kilogramami i wszystkimi oznakami przemijania, i to publicznie... ale wciąż biegam po scenie i niezmiennie jestem na niej szczęśliwa. Największą radość w mojej pracy fundacyjnej daje mi kontakt z moimi podopiecznymi niepełnosprawnymi intelektualnie. Choć przecież są to ludzie, którzy nigdy się nie zmieniają, nie założą rodzin, nie skończą studiów. Moi podopieczni zawsze będą tacy, jacy są. **Widzę, że co chwilę przychodzi do Pani jakiś SMS.** No tak. Mam tu w mojej komóreczce taki mały gabinet terapeutyczny. „Pomagam” tak na odległość kilku osobom. Mnie zresztą to też sprawia przyjemność,

choć trzeba uważać, bo niektórzy chorzy ludzie są jak bluszcz, który może ci opleść i przez przypadek udusić.

Więc jak to się robi?

Trzeba mieć dystans. Mam na przykład taką dziewczynę, która pisze do mnie po kilka razy dziennie. Wczoraj, niech spojrzę - zaczęła pisać do mnie o 8.04, a skończyła o 22.18. Dzięki temu dystansowi mnie to nie szkodzi, odpisuję, jak mogę - gdy stoję w korku albo na coś czekam. I jeśli ma się ten dystans, to te osoby nic mi nie zabierają, przeciwnie - dają mi wiele.

Jeszcze w temacie miłości.

Za chwilę ukazuje się książka o Wiesławie Dymnym. Pani mówi o nim: piorwsza, wielka miłość mojego życia.

To będzie książka biograficzna, której ja bym nie mogła napisać, bo Wiesia znałam tylko przez ostatnich osiem lat jego życia. I o nim wiem tylko tyle, ile sam mi mówił. Bo się nigdy o nic nie dopytywałam - ani jego, ani innych ludzi. Książkę napisała Monika Wąs. Pisała kiedyś o nim pracę magisterską, rozmawiała o Dymnym z wieloma ludźmi, zbierała dokumenty, fakty, przegadałam z nią dziesiątki godzin. To jest bardzo precyzyjna książka, ale ukazuje Wiesia takiego, jakim został w pamięci innych. Ale ja z tym nie polemizuję. Wiesiu mnie tego nauczył. Mówił: Ania, ludzie i tak będą o tobie mówić, co chcą.

Jabym chciała wiedzieć, jaki on został w pamięci Pani, nie innych.

Bardzo trudno mi o Wiesiu mówić. Bo jak mówić o miłości, a jeszcze mówić o niej do mediów? Gdy chcesz to ubrać w słowa, to one są za duże, za małe, pompatyczne. A w dodatku zauważyłam, że kiedy mówisz o miłości, o wartościach, i mówisz to szczerze, to natychmiast to ludzi drażni, wywołuje agresję.

Ale innym, być może, jest to potrzebne?

Dlatego ja jednak o Wiesiu mówię, lecz mam z tym osobisty problem. Czasami tak myślę, że moje spotkanie z Dymnym - z moją wielką, pierwszą miłością - nigdy się nie skończyło. Wciąż trwa. Oczywiście, zaraz



► Anna Dymna: Umówiliśmy się, że będziemy na to nazwisko pracować, bez względu na to kto odejdzie pierwszy

ludzie stwierdzą: co za głupia, egzaltowana aktorka. A to jest prawda, tylko ci ludzie widocznie nie mieli szansy przeżyć czegoś podobnego i tego, co czuję, nie mogą zrozumieć. **Wasza znajomość zaczęła się filmowo: Pani uderzyła go w twarz, on oddał i wyszedł. Potem czekał na Panią z kwiatami.**

Gdybym miała to pani opowiedzieć, potrzebowałybyśmy dwóch tygodni. Spotkałam Wiesia, kiedy byłam bardzo młodą aktorką. Przy jego boku wchodziłam w dorosły świat, w niebezpieczny zawód. Choć, co śmieszne, my byliśmy w bardzo podobnych wartościach wychowani. I kiedy trafiłam pod skrzydła rodziców pod skrzydła Dymnego, to jakby nikt mnie z niczego nie wyrwał. Oczywiście, był 15 lat ode mnie starszy i był kontrowersyjnym artystą w tamtych dziwnych czasach. Ale nauczył mnie takich rzeczy, które do tej pory są dla mnie kregosłupem. I jak coś robię, to zawsze myślę o tym, co by mi Wiesiek powiedział. I to jest taka wartość dla mnie, taki skarb na całe życie.

Jaki był?

Przed wszystkim - był niezwykłym człowiekiem. Wiesiu to była uczciwość i prawda. Reagował na wszystko prosto, niczego nie kalkulował, nie manipulował. Może dlatego też tak kocham moich podopiecznych, którzy - oczywiście z innego powodu - działają tak samo jak Wiesiu: prosto, odruchami. Oni

mózgiem nie zniszczą żadnych uczuć. Wiesiek również taki był, a przy tym był wybitnie inteligentny, odczytany, utalentowany we wszystkich dziedzinach, niezłomny. I żył w przedziwnym świecie zniewolenia. Taki dziłki ptak w klatce. Ciężko mu było. Oczywiście, że sobie z tym nie radził, bo był niezwykle wrażliwy. Więc oskarżać się, najeżał. W miecie pozostał jako agresywny, nieobliczalny, dziwny człowiek. Niektórzy się go bali. Ale w środku, pod tym pancierzem, był schowany wrażliwy, delikatny, subtelny chłopiec i artysta.

Czy w dzisiejszej rzeczywistości byłby szczęśliwszy?

Może tak. Może byłby największym w Polsce scenarzystą, a może największym malarzem? On był utalentowany w wielu kierunkach, tylko że to były takie czasy, że nikt - i przez to on sam, tego nie cenił. Wiedział, że to na nic. Ale przy tym miał cały czas radość w tworzeniu. Nigdy nie siedział bezczynnie. Jakby mógł, to i przez sen by coś robił.

Może dlatego czasami pił - żeby wreszcie zresetować organizm. Bo jeśli nie pił, to cały czas to coś rzeźbił, to rysował, szyl, konstruował, fotografował. Miał tysiące swoich zeszytków - niestety, większość spaliła się w pożarze przed jego śmiercią. Ale cieszył się tym jak dziecko. Nigdy też nie mówił źle o ludziach - choć byli tacy, o których nie mówił w ogóle.

Jak sobie Pani poradziła z jego śmiercią?

Kiedy Dymny zmarł, miałam 27 lat. W chwili gdy byłam całkowicie załamana, kiedy było mi najtrudniej, przypomniałam sobie naszą rozmowę: umówiliśmy się, że będziemy na to nazwisko pracować, bez względu na to kto odejdzie pierwszy. Dotarło do mnie, że mam jakieś zobowiązania i pomyślałam sobie: kobieto, musisz żyć, i musisz żyć tak, żeby Dymny cię kiedyś nie skopał, jak się tam spotkacie. Oczywiście, mówię to półzartem, ale wierzę, że jeśli się pojawiamy tu, na ziemi, to naszym obowiązkiem jest żyć i być szczęśliwym. Kiedyś z Dymnym o tym gadaliśmy. Więc żyję, wciąż pracuję na to nazwisko „Dymny” i bardzo się staram. Trudno mi się o tym mówi. Bo przecież jestem teraz z innym mężczyzną, jemu może być przykro.

A jest?

On przecież wie o tym, że gdyby nie Dymny, to ja byłabym prawdopodobnie kimś innym. A kocha mnie też za to, jaka jestem, prawda? Zrozumiałam, co napisał Szekspir w jednym sonecie: „Miłość silniejsza jest od śmierci”. Miłość jest taką siłą, że nawet jeśli przychodzi śmierć i ktoś na chwilę odchodzi - bo mam nadzieję, że to tylko chwila - to uczucie wciąż trwa i z tej miłości czerpie się całe życie. Ja coś takiego przeżyłam. I jak mam to ludziom wytłumaczyć? ●

Jeśli pojawiamy się na ziemi, to naszym obowiązkiem jest żyć i być szczęśliwym